

Haki na Bey'a

Jarosław Tomaszewicz

Spis treści

...tym gorzej dla faktów	3
Kopanie leżącego	4
Co robić?	5
Anarchizm Trzeciego Tysiąclecia	6

Z koncepcją Tymczasowej Strefy Autonomicznej (TAZ) Hakima Beya po raz pierwszy zetknąłem się w 1993 r. na łamach „*Fifth Estate*”. Nie spodobała mi się wtedy. Uznałem ją za, w najlepszym razie, artystyczną prowokację. W tym okresie spośród współczesnych myślicieli anarchistycznych najwyżej ceniłem Murraya Bookchina z jego ideą „wolnościowego municypalizmu”. Gdy jednak zauważyłem, że większość ludzi woli liberalną oligarchię czy nawet autorytaryzm od demokracji - zacząłem szukać anarchistycznego teoretyka bardziej adekwatnego do naszych czasów. I znalazłem właśnie w odczytanym na nowo Hakiemie Beyu. On chyba najlepiej oddaje ducha czasów chaosu i wykorzenia.

Nie będzie to jednak pean na cześć Proroka Nowej Ery. Wszak dobra recenzja to recenzja krytyczna.

...tym gorzej dla faktów

Zacznijmy od licznych nieścisłości i nadinterpretacji. Ich wyliczanie nie wynika z mojej nudnej pedanterii ale jest krytyką samej metody Beya, który pomija lub przeinacza to, co nie pasuje do jego wizji. Szczególnie istotne jest to w przypadku opisów historycznych utopii, będących zdaniem Beya dowodem na realność jego koncepcji.

Niektóre błędy wydają się być przypadkowe (np. rodzina nuklearna pojawiła się dopiero ok. XVI w., a nie w neolicie), inne jednak wynikają z przyjętej tezy. Otóż średniowiecze cechowała jeszcze wielka obfitość świąt, dopiero w XVI w. rozwijający się kapitalizm zaczął redukować ich liczbę. To jednak nie pasuje do wizji, w której religia na wszelkie sposoby zniewala człowieka, dlatego Bey sugeruje, że to już chrześcijańskie średniowiecze pozbawiło ludzi prawa do świętowania. Zgoła zabawne jest, gdy twierdzi, że paleolityczna gromada była „reakcją na obfitość”. No tak, zapewne z nadmiaru jedzenia ludzie w neolicie zajęli się uprawą roli.

Odbrażając mity, także anarchistyczne, zawsze narażamy się na zarzut szargania świętości. Ale wyliczajmy dalej... Nieprawdą jest, że wszyscy (podkreślenie Beya) anarchiści wystąpili przeciw sowietom po Kronsztadzie - już w „*Gazecie An Arche*” nr 48 opisywałem anarchistów, których państwo sowieckie wchłonęło bez reszty (tekst ten można znaleźć w „*Nowych ideach...*”).

Przyznaję, że sam nie wiedziałem, iż wpływ na monachijską republikę rad wywarł nacjonalistyczny volkizm, że swój udział zaznaczył tu narodowo-romantyczny ruch młodzieżowy Wandervogel. Natomiast Republika Fiume - przedstawiana przez Beya jako ucieleśnienie anarchistycznej utopii - miała od początku na wskroś nacjonalistyczny charakter. D'Annunzio to taki bardziej samodzielny włoski Żeligowski: urządził swą wyprawę aby przyłączyć do Włoch miasto, o które toczył się spór z Królestwem Serbów Chorwatów i Słowenów. Oczywiście element anarchistyczny był w wyprawie d'Annunzio bardzo wyraźny - tak jak w całym wczesnym faszystycznym (znowu odsyłam do swojej książeczki). Nie mogę jednak powstrzymać się od refleksji, że gdybym to ja przedstawił Republikę Fiume jako wzór dla anarchistów, natychmiast zostałbym oskarżony że przemycam, podważam, zacieram.

Wreszcie ten najbardziej bodaj wyeksponowany przykład historycznej utopii anarchistycznej: republiki pirackie. Bey prezentuje tu wyidealizowaną wizję piractwa godną przygodowych powieści dla młodzieży. Tymczasem ci jego ukochani piraci wielokrotnie byli najemnikami na służbie kolonialnych imperiów (legendarny bukanier Henry Morgan został gubernatorem Jamajki); rabowali wszystkich, bogatych i biednych, jacy im się napatoczyli; płynnie przechodzili w szeregi wielkich kupców - nie gardząc przy tym handlem niewolnikami! Pomijam tu już okrucieństwo piratów, bo, rozumiem, dla szanującego się anarchisty-indywidualisty cierpienia jakichś tam mieszczan czy rybaków nie mają większego znaczenia. W taktyczne sojusze z tubylcami piraci, owszem, wchodzić, ale nie wynikało to z jakiegoś szlachetnego antyrasizmu, ale z doraźnej zbieżności interesów. Wystarczy może przypomnieć pominięty przez Beya fakt, że piracką republikę Libertatii starli z powierzchni ziemi nie kolonizatorzy ale właśnie tubylcze plemiona z głębi lądu... Tak więc równie bliska co piraci Hakimowemu ideałowi anarchizmu byłaby paramilitarna organizacja XVI-wiecznej Kozaczyzny czy nawet polskich Lisowczyków.

Kopanie leżącego

Ale co innego jest ważniejsze. Nie grzeszy Bey przenikliwością, gdy konstruuje obraz Wroga. Potwór o trzech głowach, którym na imię Państwo, Kościół i Rodzina, jest żywcem wyjęty z XIX-wiecznych czytanek dla anarchistów, ale nijak ma się do współczesności. Dziś te instytucje dogorywają, wykrwawiane przez Jedynego Władcę, jakim jest Wolny Rynek.

Państwo jako wróg nr 1? Przecież państwo zanika, kurczy się na naszych oczach. Nie tylko tu, w Polsce - na całym świecie państwo oddaje kolejne sfery życia Rynekowi. Przyjrzyjmy się Wielkiej Brytanii: polityka monetarna przekazana została Bankowi Anglii, urynkowieniu podlegają usługi publiczne. Zygmunt Bauman opisuje proces dobrowolnej abdykacji państwa, które z premedytacją zrzeka się ono swoich prerogatyw na rzecz wędrownego kapitału ponadnarodowego. Rządy mają już tylko jeden cel - zapewnić owemu kapitałowi jak najlepsze warunki. O polityce wewnętrznej państw decydują instytucje pokroju Banku Światowego i nawet najradykałniejszy populistą zdobywszy władzę nie potrafiłby zrealizować swojego programu.

Kościół? W Polsce reprezentuje wciąż znaczącą siłę ekonomiczną, społeczną a nawet polityczną, ale nawet tutaj jasnym jest, że okres świetności ma już za sobą. Autorytet katolicyzmu zmalał dramatycznie (na tak ostrą krytykę, jakiej dziś jest jawnie poddawany, nie pozwalali sobie komuniści nawet za Gomułki), a cały ten system prawnych przywilejów nietrudno będzie rozmontować. A na zlaicyzowanym Zachodzie zorganizowana religia już całkiem przypomina stracha na wróble. W Europie Zachodniej praktykuje regularnie poniżej 10% ludzi. Wiara w Boga przegrywa z kultem Złotego Cielca, od kościołów popularniejsze są hipermarkety. Nawet partie chadeckie deklarują tam swoją bezwyznaniowość!

Wreszcie rodzina. Trzeba być ślepy, by nie widzieć, że także ona eroduje pod wpływem rynku i rynkowej mentalności. Rynek wymaga od wszystkich członków rodziny aktywności zawodowej i pełnej dyspozycyjności, a to jest trudno pogodzić z tradycyjnym modelem

rodziny. Kultura masowa propaguje konsumpcjonizm, hedonizm i egoizm - a to również jest destrukcyjne wobec rodzinnych wartości. Tak zachwalane przez Beya rozwody nie wynikają bynajmniej z popularności anarchizmu, ale są skutkiem działania kapitalizmu.

Zatrzymajmy się przy rodzinie. Wrogość Beya wobec Państwa i Kościoła jest logiczna ale jego fobia na punkcie rodziny pozostaje dla mnie niezrozumiała. To grupa mała, dobrowolna, przede wszystkim nieformalna. Przyjrzyjmy się definicji imprezy, rozumianej tu jako ucieleśnienie TAZ: „grupa osób, nawiązujących stosunki twarzą w twarz, działa zgodnie na rzecz realizacji wspólnych pragnień”. Przecież rodzina spełnia warunki tego opisu. Można potraktować ją więc jako Tymczasową Strefę Autonomiczną. Na tyle, na ile stosunki między członkami rodziny nie są urynkowane, na tyle rodzina pozostaje ostoją autonomii wobec Molocha rynku. A że jej tymczasowość jest nieokreślona, że czasem trwa aż po grób? Skoro taki układ odpowiada osobom tworzącym rodzinę, dlaczego miałby przeszkadzać komukolwiek innemu.

Co robić?

W koncepcji Beya najważniejszą, najbardziej oryginalną jest jednak jego strategia oporu - owa tytułowa TAZ. Anarchizm Beya to anarchizm pozbawiony nadziei na rewolucję: zaba-wa jako opór, ucieczka w przestrzeń wirtualną, ogólnie rzecz biorąc unikanie konfrontacji. Można i tak, pozwolę sobie jednak zauważyć, że taka strategia byłaby nieskuteczna w starciu z państwem totalitarnym - trudno sobie wyobrazić jej realizację w stalinowskiej Rosji (wątpiącym proponuję przeczytać „Archipelag GULag”). Żyjemy jednak w liberalnej oligarchii, przeanalizujmy więc propozycję Beya.

Generalnie Bey propaguje „psychiczny nomadyzm”. „Zmiany pracy, zmiany stylów życia, religii, diety, itd.” są według niego formą oporu. Można się z tym zgodzić, jeśli jest to rzeczywiście świadomy, indywidualny wybór, dokonywany wbrew establishmentowi i popkulturze. Jednak znacznie częściej ludzie korzystają z gotowych ofert podsuwanych im przez media, swego rodzaju „wymiennych osobowości”. Większość i tak „wybiera Pepsi”. Konsumenci zmieniają się tak jak nakazuje moda (która jest dziś - obok kredytu - fundamentem kapitalizmu, bo gdyby nie ona to po cóż mielibyśmy kupować wciąż nowe rzeczy?).

Warto też zwrócić uwagę, że nomadyzm propaguje też znany ideolog globalizacji Jacques Attali. Nie interesują go jednak gasterbeiterzy i wagabundzi Beya - w jego koncepcji nomadowie mają być klasą panów: kosmopolityczną kastą menadżerów i wysokiej klasy specjalistów. Zarówno Bey jak i Attali zajmują się dwoma marginesami społeczeństwa, muszą więc zadać pytanie: a co ze zwykłymi ludźmi, z konieczności przypisanymi do ziemi?

Moim zdaniem to jest podstawowa słabość koncepcji Beya - egoizm. Interesuje go tylko on sam i jemu podobni, większość społeczeństwa pozostaje poza jego polem widzenia. Bey nie respektuje prawa większości ludzi do zrealizowania swych potrzeb pokoju i stabilności. „Nic mnie nie obchodzi, co zrobicie” - zdaje się mówić - „Radźcie sobie sami”. Jest to hasło w gruncie rzeczy bardzo antyhumanitarne, taka apoteoza konika polnego pasożytującego na mrówkach-frajerach. Dla mnie nie różni się to za bardzo od wyzysku dokonywanego

przez burżuazję. Dlatego mogą zaakceptować TAZ tylko wtedy, gdyby potrafiła zapewnić sobie samowystarczalność.

Ale czy to możliwe? Dokonajmy przeglądu Tymczasowych Stref Autonomicznych.

Najpierw ta najprostsza: impreza. To na pewno zapewni Beyowi popularność! Ideologia wielu „anarchistów” zawiera się w refrenie piosenki disco-polo: „*Niech nam żyje wolność, wolność i swoboda, niech żyje zabawa i dziewczyna młoda!*”. Ale to akurat budzi we mnie uśmiech politowania. Nie przemawia do mnie idea wiecznej zabawy. Owszem, lubię się bawić (zdaniem niektórych aż za bardzo). Ale bardzo cenię też sobie czas relaksu, „świętego spokoju”, a nawet - nie bójcie mnie za to! - lubię pracować. Każdy praktyk rozrywki wie, że im dłużej trwa zabawa, tym dłużej potem łeb nam pęka. Tak po prostu skonstruowany jest organizm - nie można wciąż funkcjonować na wysokich obrotach. Święto ma sens tylko przez kontrast z dniem powszednim.

Coś bardziej trwałego: squatty. Pisałem już o tym kiedyś - jestem za. Tylko jedna uwaga: ale moim zdaniem ruch squatters - wedle Beya apoteoza bezdomności - jest faktycznie poszukiwaniem domu, swego miejsca na ziemi, a nie jego odrzuceniem.

Przejdźmy o jeszcze jeden poziom wyżej. Zauważmy, jak rozwija się Beyowa „linia genealogiczna” TAZ: najpierw „związek egoistów” w formie imprezy, ewentualnie oparty na internecie („*Psychotopologia życia codziennego*”). Potem plemiona: rampaughowie, maurowie, bukanierzy („*Poszliśmy do Croatan*”) - plemiona, które wbrew temu co sądzi Bey muszą się już opierać na organizacji, autorytecie, tradycji. Wreszcie republiki rad („*Muzyka jako zasada organizująca*”), które nie są już niczym innym jak FORMĄ PAŃSTWA. Bey na kilkudziesięciu stronach przeszedł ewolucję od indywidualizmu w Stirnerowskim stylu do faktycznej akceptacji władzy (choćby w formie demokracji bezpośredniej na niewielkim obszarze).

Czyżby się zagalopował? Sądzę, że nie. Już zimą 1995 r. Bey pisał w „*Fifth Estate*” o Stałych Strefach Autonomicznych (*Permanent Autonomous Zone*). Moim zdaniem Bey znalazł w sobie dość odwagi, by zakwestionować własne aksjomaty. Dostrzegł, przypuszczam, że jedynym liczącym się wrogiem wolności jest dziś (a na pewno będzie jutro) Rynek zamykający nas w kauczukowej klatce makdonaldyzacji.

Anarchizm Trzeciego Tysiąclecia

Potwierdza to kolejna książka Beya - opublikowane w 1996 r. „*Millennium*”. Recenzję „*Tysiąclecia*” zamieścił już „*Inny Świat*” nr 13, dlatego teraz ograniczę się do przypomnienia jego tezy. Otóż w kontekście globalizacji Bey postrzega nacjonalizm jako siłę stawiającą opór kapitalizmowi. Współczesny kapitalizm stał się liberalnym totalitaryzmem i nie potrzebuje już ani państwa ani religii panującej dla utrzymania swej potęgi. Bey zbliża się więc tu do traktowania państwa-minimum jako zinstytucjonalizowanego „*prawa i obyczaju*”, które - paradoksalnie - mogą być użyte przez społeczeństwo przeciw dyktatowi międzynarodowej finansjery. Państwo okazuje się być Tymczasową Strefą Autonomiczną! Oczywiście Bey opowiada się raczej za etniczną autonomią kulturową w stylu Landauera: ludową, bezpaństwową, opartą na wartościach duchowych. W obronie duchowego odrodzenia jako wa-

runku rewolucji socjalnej Bey (sam muzułmanin-sufista) atakuje w „Tysiącleciu” „święte krowy” lewicy: materializm, racjonalizm i ateizm.

„*Millennium*” dostępne jest w internecie pod adresem www.geocities.com/Athens/5534/bey.html . Czy zostanie przetłumaczone i opublikowane w Polsce jak poprzednia książka Beya? Nie sędę. Dziś będziemy mieli hakim-beyowców ortodoksyjniejszych od Hakima Beya. Jego późniejsze pisma odkryją za kilka lat. Gdy Hakim Bey pewnie pójdzie dalej. My wiecznie ścigamy Mistrzów z Zachodu.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Jarosław Tomaszewicz
Haki na Bey'a

pl.anarchistlibraries.net